

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 17-go z dnia 4.V.1935 r.*

A. ZORICZ

14

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

Roześmiał się, a jej nagle zrobiło się przykro. Sposępniała i rzekła swym oschłym tonem:

— Samiście mnie do tego zmusili... Samiście mnie tam posłali...

— Ależ w tem niema nic złego, — odrzekł Wieszka, chcąc załagodzić przykrość, którą jej sprawił, — i nagle, przypomniawszy sobie coś, pobiegł ku drzwiom.

Wiera podeszła do upstrzonego przez muchy wielkiego lustra: wszystkie gorsze meble, wszystkie rupiecie i galgany Ziablikowowie wystawili do ogólnych pokojów. Obejrzała uważnie swą postać, czując, że ogarnia ją cały splot sprzecznych wrażeń i myśli. Patrzyła na swe odbicie z przyjemnością, a jednocześnie starała się usprawiedliwić siebie we własnych oczach, powtarzając w duchu, że to jest niezbędne dla sprawy. Rozumiała, że jeśli na koncercie spotka ją ktoś z towarzyszków, to będzie niedobrze, — niewiadomo, co o niej pomyśla i powiedzą; — i jednocześnie pomyślała, że do takiej sukni potrzebne są odpowiednie pończochy i pantofelki. Stał się jej w pamięci obraz Wieszki, i natychmiast przypomniała sobie, jaki piękny zarys ust i podbródka ma Żorż. Zdawało się, że nie zaszło nic nadzwyczajnego i że wszystko idzie i pójdzie dalej tak, jak dotychczas. Lecz jakiś nowy głos, nigdy dotąd nie słyszany, odezwał się w jej duszy. To ją denerwowało, niepokoiło, wzbudzało lęk.

Odeszła od lustra i znowu zawahała się, nie wiedząc, co robić i na co się zdecydować. Nagle ktoś pocichutku zbliżył się i zakrył jej oczy dłońmi.

— Puść! — krzyknęła szorstko, lecz w tej

chwili po pewności ruchów i po zapachu wody kołniskiej wyczuła, że to Żorż, a nie Wieszka, i poprawiła się, dodając łagodniej i już nie tak pewnym tonem:

— Proszę puścić.

Ale Żorż nie puścił. Przeciwnie, objął ją i, ująwszy jej twarz w dłonie, pocałował w usta. Pocałunek był tak długi, że zabrakło jej tchu.

— To atawizm! — rzekła machinalnie, uwalniając się z jego objęć.

Nie dosłyszał tego, czy też nie zrozumiał.

— Co? — spytał. — Smakowało? Prawda, że tak?

Nie odpowiedziała. Stała, odwrócona, przyciskając dłońmi płonące policzki.

— Głazka! — krzyknął Żorż. — Palto i kalosze dla panienki!

— Nie, nie! Cóż znowu? — zatrzęsła się i schwyciła go za rękaw. — Nie trzeba! Ja sama sobie przyniosę!

— Ale dlaczegoż? — zdziwił się. — Jej się przecież za to płaci. I poco trudzić takie śliczne nóżki?

— Nie, ja sama. Zresztą kalosze i tak trzeba umyć.

— To ona umyje. Pocóż brudzić tak czarujące rączki? Głazka!

— Za nic w świecie! — rzekła stanowczo, stwierdzając w myśli, że chodzi jej nie o to, by nie trudzić zmęczonego człowieka, lecz o to, że może to ktoś zobaczyć.

— Sama to zrobię. Nie jestem żadną panienką, lecz komсомолką. Co to za epitety?

Żorż wzruszył ramionami.

— W takim razie niech pani mnie pozwoli.—
Sara przyniosę. W tem już chyba niema nic zdrożnego.

Wyszedł. We drzwiach minął go Wieszka z bukietem czerwonych gwoździków w ręku.

— No, — zawołał rozpromieniony, — zdaje mi się, że czerwone gwoździki przydadzą się na dzisiejszej wycieczce. Jak myślisz, Wiero?

Wzięła kwiaty i położyła na stoliku przed lustrem. Wieszka uśmiechał się, oczy jego miały wyraz tkliwości. Ale ona zauważyła tylko, że jego rude włosy sterczą dziś jeszcze gorzej, niż zwykle; dawniej jakoś nie rzucało się to tak w oczy.

— No, zdejmuj prędko ten pokrowiec! — zawołał Wieszka — i jazda! Dość się już naczekałem! Po drodze wstąpimy do stołówki i przekąsimy...

— Widzisz... — zaczęła Wiera, czując, że się rumieni.

— Widocznie wsunęłaś już coś u Ziablikowych.

Słowo to, do którego przywykła oddawna i którego sama używała często, nie zwracając uwagi na jego trywialność, nagle uraziło ją nieprzyjemnie.

— Tak — odpowiedziała — jadłam już, ale nie o to chodzi...

— Jeśli masz na myśli tezy — rzekł Wieszka z zakłopotaniem, — to przestudjowałem je wszystkie od deski do deski. Całą hodowlę zwierząt umiem na pamięć.

— Nie, to nie o to... Rozumiesz, tak się złożyło...

Nie zdążyła skończyć zdania i wytłumaczyć się, gdy wszedł Żorż, niosąc jej rzeczy.

— No czas w drogę! — rzekł, podając jej palto i, zauważywszy Wieszkę, dodał niedbałym tonem:

— Uszanowanie, młody człowieku!

Wieszka obrzucił ich oboje zdumionym wzrokiem. Teraz dopiero zauważył gorące rumieńce Wiery i ukośne spojrzenie jej oczu, unikające jego wzroku. Ostry ból przeszył mu serce.

Żorż stał w pozycji wyczekującej, trzymając palto Wiery w wyciągniętych rękach. Przez krótką chwilę Wiera wahała się, nagle narzuciła palto i wyszli. Wieszka wydało się, że Żorż obrzucił go drwiącym wzrokiem.

Bukiet gwoździków pozostał na stoliku pod lustrem. Wieszka wziął go i rzucił do kosza od śmieci, stojącego w kącie. Potem przejrzał się w lustrze: rude kosmyki sterczały nielitościwie, a na zadartym nosie widniało mnóstwo obrzydliwych, żółtych piegów. Westchnął i pomyślał, że pokochać młodzieńca o takiej fizjonomji jest naprawdę rzeczą niemożliwą. (Niewiadomo dlaczego po raz pierwszy w życiu użył wyrazu „młodzieniec“). Ale już po chwili miał wyrzuty sumienia. Skąd odrazu te myśli? Z pewnością nie się nie stało. Wiera widocznie musiała z nim pójść ze względu na dobro sprawy. A może było jej przykro odmówić, a on zaraz przypuszcza Bóg wie co i pozwala sobie myśleć o niej źle. Jakby nie znał Wiery. — Jakby dziś dopiero się z nią poznał. Uspokajał samego siebie, kpił ze swej podejrzliwości, ale na sercu wciąż było mu ciężko.

Nazajutrz dwa wypadki wstrząsnęły lokatorami domu współdzielczego.

Rankiem, o wyjątkowo wczesnej godzinie, wszedł do okrągłej sali stary Fiedosiejew, trzymając w ręku klatkę, w której leżał nieruchomo z opuszczoną główką maleńki ptaszek.

Staruszek ledwo się trzymał na nogach; okulary ze wzruszenia zsunęły mu się na nos. Tłumiąc łzy, skarżył się rozżalonym głosem:

— Pliszkę mi... tego... zamordowali...

— Jakto zamordowali?! — krzyknął przerażony Wieszka, rzucając się ku niemu.

Chociaż wszystkie urządzenia w komórce zostały już dawno zracjonalizowane, jednak Wieszka w dalszym ciągu biegał tam po dziesięć razy dziennie, coraz więcej przywiązując się do ptaków.

Gdy usłyszał wiadomość o katastrofie z pliszką, serce uderzyło mu tak gwałtownie, jak wówczas, gdy Wiera, wystrojona, wyszła z Żorżem, zostawiając na stoliku ofiarowany przez niego bukiet czerwonych gwoździków.

— Widocznie ktoś jej nasypał pieprzu... Nie tej, — mówił staruszek płaczliwym głosem, wskazując na ptaszka, leżącego w klatce, — a tamtej, która była jej mężem. I oczki biedaczce od pieprzu na wierzch wyszły, i piórka na szyjce wyłazły. Już nie żyje...

Trząsł się cały z gniewu i żalu.

— To są rzeczy niesłychane! — krzyknął Wieszka energicznie, podkreścając opadające kosmyki — kto to mógł zrobić? I dlaczego?

— Kto ich tam wie! Widocznie komuś zawadzało to biedactwo, — że żyło sobie na świecie i śpiewało. Figlarna to była ptaszyna... wiercipięta, — chwili na miejscu usiedzieć nie mogła, — więc wypuszczałem ją z klatki, żeby sobie po pokojach latała. A jakiś okrutnik wziął i nasypał jej pieprzu. Głupie to jeszcze; widzi, — leżą ziarenka, więc zaczęła je dziobać; nie wiedziała, nie-szczęсна, że na zgubę swoją nadziobie ich... Teraz zemrze się z tęsknoty i tej nieboraczce, bo to żona tamtej. One nie mogą przeżyć takiego nieszczęścia, bo bardzo dużo serca jedno dla drugiego mają. Widzisz, jaka strapiiona? Leży, jakby dusza w niej zamarała!

— Ale kto to mógł zrobić? — powtórzył Wieszka, marszcząc czoło.

Staruszek nie odpowiedział na to. Obecny przy tem Ziablikow odezwał się:

— Takiemu lajdakowi wartoby ręce poprzetrącać.

Wieszka spojrzał na niego zukosa. Małe oczki Ziablikowa rzucały niespokojne błyski, a palce poruszały się z większą szybkością, niż zwykle. Wieszka poczuł, że serce jego wybiera nienawiścią ku temu człowiekowi, ale nie powiedział.

Staruszek pochylił się, wsunął rękę do klatki i zaczął lekko głaskać leżącego tam ptaszka.

— No dosyć, dosyć, niebożatko ty moje! — Pocieszał go, jak matka, która tuli płaczące dziecko. — Przestań płakać, kochanie, bo łzy już mu nie pomogą! Pojedziemy do lasu, poszukamy, — może znajdziemy nowego towarzysza... No. cicho, cicho, ty moja serdeczna...

(d. c. n.)

(Przekład H. Winawerowej).

K R W A W N I K

W najbliższych dniach ukaże się nakładem Gebethnera i Wolffa powieść W. Czosnowskiego,
z której podajemy fragment:

Tężała zima. Dzień zaczynał się pobudką, która wysokim, przez mróz wyostrzonym dźwiękiem wnikała do szopy i podrywała ulanów, śpiących pokotem na narach. Trębacz, niewidoczny w mroku zimowego poranka, dał wprost w zaszczone okienko.

Żołnierzowi nie spieszo wywikłać się z pod ciepłej dery i zlaść z wygrzanych, choć twardych nar, w noc, w mróz. Ale już wachmistrz Dograjek drzwi szopy otworzył, koszarowy zaduch falą świeżego powietrza zmroził, już swą laseczką, jak pogrzebaczem, zgarnia śpiących z barłogu i grzmi:

— Wstawać!... Nie słyszyta sygnału?!...

Mija dzień zimowy, podobnie jak wszystkie inne. W przepisowym porządku wlecze się szwadronowa nuda. Po rannym obrzędzie śniadanie, po śniadaniu ćwiczenia, potem obiad, potem znów ćwiczenia, znów obrządek wieczorny, a po apelu odpoczynek w zimnej szopie, na twardych narach. Jak codzień.

Trzeci pluton w niełasce u wachmistrza Dograjka. Więc podczas ćwiczeń bardziej umęczał komendą „padnij“, podczas jazdy ganiał przez godzinę klusem bez strzemion, że aż ten i ów nogi poodmrażał. Poza kolejką wartę z „trzeciego“ wyznaczał, a wiadomo, warta najcięższe udręczenie dla żołnierza. Wreszcie, późnym wieczorem, gdy trzeba było wyznaczyć ordynansowego na koniu, Dograjek, jak w dym, do trzeciego plutonu.

— Gracek! Zaraz siodłaj i do sztabu.

Z Grackiem miał pan wachmistrz jakieś dawne porachunki. „Dryłował“ go, jak mógł. Okazało się jednak, że Gracek tym razem jechać nie może, koń jego zakulał.

— Więc Tyński. A żwawo!

Tyńskiego Dograjek również nie lubił. Nie dlatego, żeby był złym żołnierzem, przeciwnie, był żołnierzem dobrym. Nie lubił go chyba za „inteligencję“, niepoparte żadną dla pana wachmistrza korzyścią, za te juchowe „kazionne“ buty, które Tyński nosił. Inni wolontarjusz „z zamożnych domów“, a tych niebrak było, umilali sobie jako tako szwardonowe życie dostatkiem i trzymali oficerski „fason“, z wachmistrzami popijali i żyli z nimi zapanbrat. Tylko Tyński inaczej. Wlaź w żołnierską skórę i służył jak prosty ulan, choć wiadomo było, że ma bogatego ojca i że sam pan rotmistrz „prywatnie“ rękę mu podaje. A byle komu nie podawał. Stąd wniosek, że Tyński nie byle kto. Początkowo Dograjek zachodził go z różnych stron, przewidując dla siebie niebyle jakie korzyści. Uprzejmie traktował, miłą ręką żołnierskiego rozumu uczył. Per „pan“ mu mówił, na ćwiczeniach oszczędzał, z przykrzejszych obowiązków zwalniał. Nie pomagało. Więc zmienił taktykę, ostrzej zaczął zażywać, podciągając, dając jednocześnie do zrozumienia, że kto „smaruje“, ten łatwiej „jedzie“. Ale Tyński zdawał się nie rozumieć. Służba służbą, władza władzą. Nie było rady, Dograjek orzekł, że „skąpa

być musi jucha i nieużyta“. Traktować go zaczął zgóry i ignorować.

W kancelarji dali Tyńskiemu meldunek w grubej kopercie z rozkazem doręczenia dowódcy do rąk własnych. Odmeldował się i ruszył do Głuchoborza. Miał przed sobą czternaście wiorst „z hakiem“, a wiadomo, że na Białorusi ów „hak“ nieraz dłuży się bardziej jadącemu, niż urzędową miarą odmierzona droga. W dzień bywa taki „hak“ krótszy, w nocy zaś dłuższy, zwłaszcza gdy mróz i zadymka. Drogę łatwo zmylić...

Za folwarkiem sypnęło Jaremie odrazu ostrym śniegiem w oczy, koniowi zwichrzyło grzywę. Północny wiatr niósł polami tumany śnieżnego igliwia, skręcał je w gigantyczne leje, rozpląszczał przy ziemi, to znowu podrywał wgórę i trzymał je tak rozwieszone, niby zwiewne zasłony, aby za chwilę znów cisnąć w twarz jadącemu. Świat zdawał się być nieprzeniknioną, ołowianą bania, w której wnętrzu kłębił się i szalał biały żywioł. Drzewa i przydrożne krzewy wyłaniały się z nagła, ich widmowe kształty zagradzały raptem drogę, jakgdyby pragnęły powstrzymać jadącego.

Śnieżycą, zamieć, mróz...

Nielatwe jechanie. Koń zapada się co chwila w głęboką puszystą zaspę. Czepia się kopytami tego puchu, przebiera przednimi nogami, jakgdyby płynął, wysila się, lecz stoi na miejscu. Wówczas: ostrogą w brzuch! Zwierzę stęka, podbiera zad i paru susami wydostaje się z matni. Miejscami na trakcie twarda, lodowa skorupa, ślizgawica. Koń kroczy ostrożnie, drobnymi przebiera kroczkami, aby się nie zwalić. W taką noc, w taki czas nie jeździć — wszystko koń: sam sobie drogę wybiera, nie wzrokiem, nie słuchem, a chyba oszronionymi chrapami wywachuje. Na łaskę zwierzęcego instynktu zdać się musi jeździec i tylko baczyć, aby nie zamarznąć na kość i nie zsunąć się z siodła.

A strach to nie?

Tyński tłumaczył sobie, że nie, że się nie boi. Bo i czego? Konia ma pod sobą dobrego, trakt do Głuchoborza znaczą drzewa, więc nie zbłądzi, a wilki, choć ich sporo w okolicy, choćby nawet zwęszyły — głupstwo! Od czego karabin, rewolwer i wreszcie szabla: djabła wart ulan, który bałby się kilkanaście wiorst nocą przejechać. Nawet w taką oto zadymkę. Ale im bardziej tłumaczył sobie bezsensowność strachu, tem silniejszy lęk odczuwał. Byle krzew przydrożny — widmo, byle śnieżny zawijas — jar, przepaść, byle muśnięcie przez wiatr drutów telegraficznych — wycie wilków. Złudzenia... Otrząsał się z nich natychmiast, w głos pogadywał do konia, aby brzmieniem własnych słów dodać sobie otuchy.

— A to ci, stary, pogódka, co?

Koń strzygł uszami i chrapał trwożnie. Za chwilę pojawiały się znów zjawy i straszaki.

Po raz pierwszy w życiu poczuł Jarema grozę samotności. Że jest sam, opuszczony, i nie tylko tu,

wśród zawiejszej nocy, na głuchym trakcie, lecz wogóle na świecie. Sam sobie pozostawiony, nikomu niepotrzebny. Niepotrzebny! Że nikt myślą go tu nie goni, nikt sercem nie towarzyszy... Matka? Tak, matka. Największym szczęściem byłaby teraz pieszczoła jej białych dłoni i współczujące słowa. Ale nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział nawet, czy żyje. Ojciec? Pozostał daleko wśród wspomnień dzieciństwa. W przełomowej chwili rozeszły się ich drogi. Stał się dla Jaremy nieomal tylko znajomym starszym panem, do którego pisał się w lakonicznych listach z przyzwyczajenia „Kochany Ojciec”. Nawet pieniędzy od ojca nie żądał i nie przyjmował. Każdy sobie...

Więc kto? Pan wachmistrz Dograjek? Wpłatanie się moczymordy Dograjka w tok tych rozmyślań jeszcze bardziej przynębiło Tyńskiego. Spałby sobie teraz spokojnie w koszarach na górnej przyczepie, między Dziębowskim a Grackim, wraz z trzydziestu innymi. Nie tłukłby się po nocy w taki czas. Ale i myśli o koszarach, ich kwaśnym zaduchu, wszach i głośnym chrapaniu tylu chłopów zmierzła go teraz i przejęła wstrętem. Tyle miesięcy tej dobrowolnej, patriotycznej nędzy — cholera!

I oto przypomniał sobie, że zbliża się do Głuchoborza, do wspaniałego magnackiego zamku. Że wreszcie przynajmniej parę godzin spędzi nie jako ułan, lecz jako Tyński, nie w koszarach, wśród Gracków i Sitarków, lecz wśród „swoich”. Jak zobaczą, że meldunek przywiózł Jarema Tyński, zaproszą go z pewnością jako gościa. Bo książę Gintowt znał go z towarzystwa, byli nawet spowinowaceni przez Dalibogów.

„A! prosimy — *chère cousin* — na kieliszek starki” — powie książę, albo księżna, ku wielkiemu zdziwieniu pułkownika, skąd taka zażyłość z tym ułanem. Jarema uśmiechnął się do myśli o minie dowódcy i o starce, która przyjemnie zabulgoce w gardle i błogiem ciepłem rozplynie się po członkach. Widział już w wyobraźni zamkową jadalnię, stół, zastawiony kryształami i srebrem, amfiladę oświetlonych salonów. I siebie w tem otoczeniu.

Nagle koń zapadł się w zaspę i tak gwałtownie skoczył, że Jarema o mały włos nie stracił równowagi. Dopiero teraz spostrzegł, że z trudnością trzyma wodze w rękach i nie czuje strzemion pod stopami, tak jest zziębnięty. Dla rozgrzewki, furmańskim sposobem, zaczął oklepywać się po bokach, zagarniać i rozgarniać przed sobą śnieżyce. Utrudzony był i śpiący. Pehnął konia ostrogami, żeby prędzej dobrać do celu. Stracił rachubę czasu, zdawało mu się, że już nieskończenie długo trwa ta podróż.

W oddali zamigotało na chwilę jakieś światelko i zgasło. Znowu zabłysło w innym miejscu i znowu znikło.

— Wilki — pomyślał Tyński i sięgnął po rewolwer. Ale jednocześnie zadudniły dyle jakiegoś mostu i z dwu stron wyłoniły się nagle kontury zabudowań. Koń stąpał po twardym, po bruku. Światelko zabłysło tuż obok z okienka przydrożnej rudery.

— Nie żadne wilki, tylko chyba Głuchobórz — z ulgą odetchnął Jarema.

Przez dziedziniec zamkowy, od stajni, gdzie zostawił konia, stróż nocny prowadził Tyńskiego

ku książęcym pokojom. Czworobok zabudowań tonął w mroku, tylko w jednym skrzydle z szeregu oświetlonych okien precedzało się w noc mętne światło.

— Nie śpią jeszcze na zamku? — zagadnął Jarema.

— Musi nie śpią, panoczku, коли w pokojach jasno. Późno wstają panowie, to i późno spać chodzą.

— A która teraz może być godzina?

— Dziesiąta jeszcze nie biła na wieży, ale musi, niezadługo wybiję. Sobaczy czas dzisiaj, bo i mróz tęgi, i zawieja. Pewnieście tego zmarzli, panoczku?

— Zmarzłem.

— Oj tak, tak, soldackie życie ciężkie na wojnie. Germańcy psu bratry wszystkim winne. Kab ich wolki! — zaklął dziadyga.

W zamku, na wstępie, fagasi... Od młodszego do starszego, poprzez strzelecką liberję do siwych, kamerdynerskich bokobrodów: kto, do kogo, po co? Tyński otrząsał się w sieni ze śniegu, dreptał i przytupywał na różnych skrobankach, druciankach i słomiankach.

— Do pułkownika. Papiery ze sztabu.

Kamerdyner trząsł siwymi bokobrodami, rozkładał ręce i wkółko: że ośobiście „na pokoje” nie można, że późno, że jasnie państwo grają w karty, że on sam zanieś na srebrnej tacy.

— Na srebrnej tacy zanieś — powtarzał, jak gdyby ta srebrna taca zaświadczyć miała ułanowi, że żadne tu oszukaństwo nie nastąpi, że taki na zamku jest zwyczaj.

A Jarema swoje: że nikomu listu nie powierzy, że musi go oddać do rąk własnych.

— Proszę zameldować, że papiery ze sztabu przywiózł ułan Tyński. Ułan Tyński — powtórzył.

Stary wzruszył ramionami i niechętnie, wolno poczłapał na górę, coś gniewnie mamrocząc. Po chwili wychylił się za balustradę schodów:

— A niechno dobrze nogi wytrze, żeby nie zapaskudzić posadzki! — rzekł, skinąwszy na Tyńskiego.

Jarema wszedł do hallu na piętrze, gdzie kazano mu zaczekać. Półokrągła sala. Drzwi na prawo, na lewo, pośrodku, między drzwiami dębowa boazerja, w górze dookoła na ścianach rogi jelenie, dziecze łby i wszelakie trofea myśliwskie. W środku, z lśniącej taflí posadzki wyrasta wielka palma, a może i nie palma — zielone, rozłożyste drzewo. W pąkach. Zima, zawieja, noc na świecie, a tu ciepło, zacisznie, wiosna!... I to jaka wiosna! Nie zwykła, białoruska, ale południowa, z tą palmą, czy figą kwitnącą, z tym blaskiem ukrytych dyskretnie w pułapie lamp elektrycznych — słońce!...

Ukradkiem tylko przyglądał się tym dziwom, nie wiedział, skąd wejdzie pułkownik, więc pilnował wszystkich drzwi naraz. Stał wyprężony, gotów każdej chwili złożyć żołnierski meldunek. Nastawił się na tę ceremonję, żeby gładko wypadła.

Nagle, tuż obok, szelest jedwabiu i leciutki pobrzęk breloków. Tyńskiemu zdało się przez chwilę, że to rój wiosnianych łatek przefrunął za nim. Obejrzał się. Opodał stała dama w ciemnej, wieczorowej sukni i przyglądała mu się ciekawie

przez *face-à-main*. Niemłoda i niestara, przystojna, może nawet piękna. Był przekonany, że to księżna. Złożył niezdarny ukłon. Skinęła głową.

— Do pana pułkownika?

— Tak jest. Księżna pani wybaczy, że ośmieliłem się tu wejść w takim stroju — powiedział, wskazując na swój mokry płaszcz i buty, przy czym z przerażeniem spostrzegł, że dokoła stóp powstało na posadzce bajorko od roztopionego śniegu. — W służbie jestem, wprost z drogi — dodał pośpiesznie.

Roześmiała się. Jej przymrużone oczy w złotej obwódce *face-à-main* patrzyły uparcie na Jaremę. Jak dowódca na przeglądzie, badała go od góry do dołu.

— Za ten nieporządek może do pana, panie żołnierzu, czuć urazę stary Jakób, który nie ma żadnego sentymentu dla ułańskiego munduru. Ale nie ja przecież, która was tak lubię — ułanów. Bohaterowie... Przyjechać tak, jak pan, po nocy, w taką zawieję i mróz, to też małe bohaterstwo — uśmiechnęła się do Jaremy laskawie.

— Skądże, bagatelka... — zaprzeczył Tyński i umilkł, bowiem skrzypnęły drzwi, w których spodziewał się ujrzeć dowódcę. Ale zjawił się nie pułkownik, lecz Jakób.

— Niech momencik poczeka. Pan pułkownik zaraz wyjdzie, tylko dogra partję.

Tyńskiego ogarnęła złość na fagasa za to traktowanie go *per „niech“* przy księżnej. Chętnie złapałby dziada za bokobrody i wytrzymał z niego tę poufałość. Zerknął w stronę, gdzie stała dama. Ale już jej nie było. Odeszła. Więc gniewnie spojrzał na lokaja.

— Dobrze, dobrze. Księżna prosiła mnie, abym zaczekał.

— Jaka ona tam księżna — wzruszył ramionami Jakób, a spostrzegłszy kałużę na posadzce, dodał groźnie: — A mówiłem, żeby dobrze nogi wytarł, to nie!

Zamilkł, bo oto rozwarły się drzwi i brzękliwym krokiem wszedł pułkownik. Tyński nastawił się służbowo. W jednej ręce szabla, w drugiej czapka, pochylenie naprzód, głowa do góry. I już krtań zagrała wysokim tonem raportu. Ale pułkownik przerwał niecierpliwem skinieniem ręki:

— Nie trzeba, dajcie papiery.

Jarema stał przed nim na baczność, czekając, aż przeczyta. Przez otwarte drzwi widział przyległy pokój. Przy zielonym stoliku siedziało kilku panów. Inna grupa, złożona z młodzieży i pań, bawiła się wesoło w klubowym „kąciku“. W głębokim fotelu siedziała dama, z którą rozmawiał przed chwilą. Trzymała kieliszek w ręku, a Jaremie wydało się, że patrzy w jego kierunku, że do niego pije, nie zwracając uwagi na rotmistrza, który pochylony nad nią poruszał obwisłymi wąsami, widocznie coś mówiąc. Do drzwi zbliżył się jeden z panów, w którym Tyński poznał księcia Gintowta. Ubrany był po cywilnemu, w smoking.

— Czekamy, pułkowniku. Niechże pan zostawi to nudziarstwo na później — powiedział książę i wrócił do towarzystwa.

Na Tyńskiego powiał chłodem z tamtego, rześkie oświetlonego pokoju — chłodem przynajmniej drzwi, nie mogłaby go widzieć, nie mo-

głaby nań patrzeć przez swoje szkiełka ta baba. Z niesłychaną ulgą przyjął słowa pułkownika:

— Dobrze. Możecie odejść.

Odejść... Uciec... Dokąd? W noc, w zawieję. Lepsze to, niż stanie na baczność pod drzwiami, w cieniu owej rozkwitającej zieleniny, w polu widzenia rozbawionych zamkowych gości. Lepiej słuchać wycia wichury, niż dźwięcznego dygotu kieliszków w salonie.

Wyszedł pośpiesznie. W sieni zatrzymał go jeden z fagasów.

— Chodź pan do kredensu. Pan Jakób przykazał dać herbaty.

Pan Jakób... Z łaski fagasów pił tę herbatę w ich towarzystwie, siedząc przy stole, zastawionym brudnymi naczyniami. Obok stołu czyjeś zabłocone kamasje, pewnie do wyczyszczenia. „Spędzamy czas w książęcym przepychu“ — pomyślał Tyński. Właśnie że w przepychu, bowiem jeden z lokajów wniósł oto tacę pełną kieliszków. Ich dzwonięcie przejęło Tyńskiego dreszczem. Postawiono przed nim kieliszek do połowy napełniony, niedopity tam, na górze.

— Pij pan na rozgrzewkę!

I pochylił się ku niemu uprzejmie, aby się trącić kieliszkami. Odmówił, tłumacząc, że wina nie pija.

— Tylko wódkę, może być spirytus... Po ułan-sku! — zmusił się Jarema do śmiechu.

Znalazła się i wódka w kredensie.

Naleli mu z pół flachy do szklanki; sobie mniej, do małych kieliszków, żeby nie „jechało“ z ust alkoholem „na pokojach“ książęcych. Taka służba... Wypili.

— Na zdrowie!

— Na zdrowie!

— Nie tutejsi jesteście, chyba z „Arszawy“? — zagadnął Tyńskiego dryblas w strzeleckiej liberji. — Po mowie poznać.

— Z Warszawy — potwierdził Jarema.

— Jakieś niedobre wiadomości przywiozłeś pan staremu, niby pułkownikowi — wtrącił się do rozmowy służący, który przyniósł kieliszki z salonu. — Rzucili karty i coś się tam między sobą naradzali. Słyszałem, że podobno ułany z tych stron odchodzą. Pewnie na jakiś inny front. Oj, wojna, wojna!...

Potoczyła się zwykła rozmowa o wojnie. Narzekanie. Tyński odpowiadał półgębkiem, nie słuchał. Ziewał.

— Chodźmy spać — zdecydował wreszcie oberfagas w granatowym fraczku. — Chodźmy — zwrócił się do Jaremy — pokażę, gdzie się możecie przespać.

Ciemnym, krętym korytarzem, po jakichś zakamarkach i schodkach, doprowadził Tyńskiego do owej gościnnej stancyjki. Żelazne łóżko, poduszka, koldra. Wystarczy... Jarema siadł na posłaniu i zamyslił się. Po wódce myśli się łatwo, prędko i jasno. Sumował swoje stany uczuciowe.

Koszary, nuda, wszy. Dograjek. Trwanie w tem wszystkim dla zasady, dla idei. Może trochę na przekór ojca, trochę samemu sobie. Zupełna bezimiennność, dobrowolne wtarcie się w szarżynę żołnierskiego życia. Pochodzenie i nazwisko zamknęte głęboko w sercu, dla otoczenia: tylko „ułan Tyński“. No, i co z tego? W czasie śnieżycy na trakcie głuchohorskim zmęczenie i lęk podszeptują złu-

dnie: „Prosimy *cher cousin* na kieliszek starki“... Do pokoju, na salony zamkowe. Rozsiąść się wygodnie w miękkim fotelu klubowym i zbliżyć się do pokoju, czy złote face-à-main nie ukrywa zmarszczek dokoła oczu. Ale nie raczyli poznać. Mokry szynel i juchtowe buty na lśniącej posadzce, to naprawdę nie nadaje się do *beau monde'u*. Więc panie Tyński, koleżeńska przypiwka z fagasami w kredensie i z Jakóbowej łaski nocleg. I co więcej? Wynik sumowania: powrót do koszar, psiakrew! Mimo nocy, mrozu, zamieci... Zaraz!

Nocleg w lokajskiej stancji wydał się Tyńskiemu dobrowolnym sankcjonowaniem doznanych upokorzeń. Postanowił odjechać natychmiast, nie czekając świtu.

Szedł ciemnym korytarzem poomacku. Nie orjentował się w labiryncie wąskich przejść starego zamku, wnek i załamań, nie wiedział, gdzie znajduje się wyjście na dziedziniec, więc przystawał przed każdymi drzwiami i lekko naciskał klamki. Posuwał się ostrożnie, starając się nie zmącić zamkowej ciszy. Pragnął wymknąć się niepostrzeżenie. Lecz jak na złość, kroki odbijały się dziwnie głośnie echem o sklepienie korytarza, ostrogi dzwoniły, szabla obijała się co chwila z hałasem o ściany. Jarema minął jakieś schodki, skręcił w boczny korytarz, a wyjścia jak niema, tak niema. Nagle potknął się o jakiś wystający próg, a przekłuta szabla zabębniła o podłogę. Oczekiwał z zapartym oddechem, aż się echo uciszy. Nie doczekał się. Przed oczami zamigotał mu płomyk świecy, zaskwierczał tłuszczyk w knocie, rozpryskując się aureolką iskier. W tej aureolce czarny punkcik: lufa rewolweru.

Sekunda...

Tyński bez namysłu zdmuchnął świecę i odskoczył w bok. Jednocześnie schwycił w kiści rękę, trzymającą rewolwer, ścisnął ją, wykręcił. Mała, ciepła ręka o aksamitnej skórze — kobieca. Wyczuł to szorstką dłońią.

Syk bólu.

Odebrał rewolwer i schował go do kieszeni. Wówczas dopiero rozluźnił uścisk, ale ręki nie puścił.

— Kto?

— Nie złodziej i nie bandyta — powiedział.

Wystarczyło to krótkie, jakgdyby zdyszane pytanie. Poznał damę z hallu. Przypomniało mu się w tej chwili powiedzenie: „Ja was tak lubię, ulanów“. I jej przymrużone oczy, badawczo w niego wpatrzone. Szarpnęła parę razy. Darcinnie.

— Proszę puścić! Precz!

— Kto?... Jeden z „lubianych ulanów“ — zamiast puścić, przyciągnął ją ku sobie. — Ulan, melduję posłusznie, proszę jaśnie pani!...

Owiał go delikatny, ciepły zapach, mieszaniny woni drogich perfum, rozgrzanej skóry z pościelą. Twarz lekko musnęły puszyste, miękkie włosy. Pachnące... Wyczuwał w dłoni bicie jej pulsu, i lekki ból, który zadawała mu ostreimi paznokciami ścisłanej ręki. Nie widział w ciemności jej twarzy, rozróżniał tylko kontury jasnego negliżu. Chwycił ją wpół, przyciągnął i zajrzał zbliżając się do oczu.

— No i co, kobitko, co mi zrobisz? — przygadywał, tłamsząc palcami jej pulchny karczek.

— Oszalał pan? — syknęła — czego pan tu chce? Myślałam, że złodziej, więc wyjrzałam.

Proszę mnie puścić — dodała zdyszonym szepem.

Puścił. Cofnęła się do swego pokoju, ale drzwi nie zamknęła. Zatrzymała się o krok.

— Żołdaki, grubiańskie zachowanie! — powiedziała, bez głębszego przekonania.

Tyński wszedł za nią i zamknął za sobą drzwi na klucz.

— No i co mi zrobisz, kobitko?

— Będę krzyczeć! Pobudzę!...

— Każdy żołdat jest grubjan, każdy — przekonanie dobierał prostactkich wyrażen. Wypatrzysz wreszcie w ciemności łoże, złożył ją w pościeli. Nie broniła się.

— Ciszey, błagam, ciszey... — szeptała.

Szablę, ciężkie buty, ubranie rzucił na podłogę, nie dbając o ciszę. Wreszcie utonął w wonnym puchu wspaniałego łoża. Nie szukał guzików i tasemek, nie rozpinął, lecz poprostu zdarł z niej jedwabną piżamę, a jej strzępy odrzucił precz.

— Pan jest bezwstydnym zuchwały! Kochany... kochany... Słuchaj! Kto ty jesteś? — odepchnęła go nagle, unosząc się w pościeli.

Jarema odwrócił się do ściany, ziewając w poduszkę.

— Żołdak.

— Ależ nie, nie! — przytuliła się znów do niego. — Czekaj, to ja ci wyjawię, kim jestem. Pewnie nie wiesz, pewnie przypuszczasz, że jakaś taka sobie... No, jak myślisz, kto się do ciebie tuli? Kto?...

— Rezydentka?

— Nie.

— Krewniaczka księżęca.

— To swoją drogą, ale nie o to chodzi. Jestem siostra Wilanowska. Musiałeś nieraz słyszeć. Naczelną siostrą i założycielką czołówki — szeptała, pokazując mu biały fartuch z czerwonym krzyżem na rękawie.

— A, hrabina Wilanowska... — ziewnął obojętnie Jarema.

I zasnął.

Z FILMU

Parę słów o dodatkach. Przy programie „Capitolu“ oglądamy krótkometrażówkę „Reportaż z frontu pracy“, zrealizowaną przez Cękałskiego. Pomijając przesadny patos (łącznie z tytułem), pożyczony od sąsiadki ze wschodu — jest to bodaj jedyna dobra krótkometrażówka, jaką oglądaliśmy od dłuższego czasu. Umiejętne wykorzystanie walorów kinematograficznych, staranny montaż, ustawianie elementów według pewnej koncepcji, prowadzącej do dynamiki obrazu — to bardzo rzadki wypadek dla wszystkich tych reportaży, dodatków propagandowych i krajoznawczych. Niedawno jeszcze zatruwało się życie Bogu ducha winnym widzom propagandą morza polskiego. Od czasu, jak oglądałem te dodatki, nakręcone pod egidą Ligi Morskiej i Kolonjalnej — straciłem wszelki sentyment do morza, nie jestem już w stanie marzyć o własnym jachcie i uważam, że niema rzeczy nudniejszej i smutniejszej, niż żeglowanie po morzu. Otóż i propaganda. Na całe

szcześnie skończyło się, już się ich nie wyświetla (a może wróć jeszcze?).

Natomiast reklamy wyświetla się i to się już nigdy nie skończy. I to jest straszne. Pół godziny kosztownych rysunków i pół godziny lirycznych tang: „jedyne, niezastąpione i nie do zdarcia są skarpetki cztery dziewiątki — przyzna to każdy mężczyzna!“. Obrzydliwość. Albo „Świece Polo — idealnie golą“, albo „jestem zadowolony, bo nareszcie znalazłem krem do golenia, którego dawno

szukałem“, a gęba taka, że napewno nie goli się częściej, niż raz na rok. Albo to wszystko niedo-
łężnie zrobione, ordynarne, prowincjonalne, ra-
żące najbardziej cierpliwe gusta widza filmy i fil-
miki rysunkowe. Proszę państwa! Umówmy się.
Będziemy wszyscy solidarnie tupać podczas re-
klam i złych dodatków. Nie wstydzmy się: Hisz-
panie tupią na walkach byków, bo mają tempera-
ment. Miejmy i my!

EDWARD ESTAUNIE

członek Akademji Francuskiej

14)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

Zdziwiona tą przemową, kobieta odwróciła głowę z przestachem. Widok Renégo uspokoił ją. Bezwątpienia musiał ją już wielokrotnie zauwa-
żyć, gdy spełniała swoje dobre uczynki. Kto zresz-
ta może wiedzieć, czy prośba ta nie została goraco
przysłana? Jakkolwiek było, odpowiedź nastąpiła
bardzo szybko:

— Chętnie, panie, pod warunkiem, że pan
zodoli się trzymać parasol bezustannie popycha-
ny wiatrem, w tę lub w inną stronę.

— To się samo przez się rozumie, — rzekł
René — Szczęśliwie, że nikt prócz nas nie odwa-
żył się wsiść w taką burzę, w ten sposób będę pa-
ni dłużny i wszelkie konwenanse zostaną zachowa-
wane.

Lekko wzniosła w górę ramiona:

— Poprościu tak będzie wygodnie. Konwenan-
se są mi zupełnie obojętne.

Wztał parasol, podał ramię swej przysługowej
towarzyszce i poszli razem jedno obok drugiego.

Nie uszli nawet dwudziestu kroków, gdy mu-
sieli się rozejść, jedno na prawo, drugie na lewo,
aby uniknąć upadku w błoto. W rezultacie René
był suchy, ona zaś przemokła.

— Sądę, — rzekł, — że roztropniej będzie
trzymać się mego ramienia.

Kobieta odpowiedziała z tą samą stanowczo-
ścią:

— W istocie, sądę, że będzie praktyczniej.

Uczyniwszy tak, jak on chciał, szli od tej chwi-
li przytuleni do siebie, aby lepiej ochraniać głowy
przed ulewą. Ręka nieznajomej ciążyła na ra-
mieniu Renégo tylko tyle, że mógł zauważyć jej
zarys, ale bez tej swobody, która sprawiałaby
przyjemność.

Nie był wdzięczny swej towarzyszce za krę-
pujące milczenie, a jednocześnie, roześmieszony
całą przygodą, René rzekł:

— To bardzo szczęśliwie, że dla pani kon-
wenanse są obojętne.

— Dlaczego?

— To, na co mi pani pozwoliła, jest bardzo
kompromitujące.

— Czy się pan boi o siebie?

— O nas oboje.

— A więc, mój panie, skoro po namyśle, są-
dzi pan, że popełniłeś głupstwo, prosząc mnie o tę
przysługę, przy wejściu na przedmieście jest pan
wolny i może mnie pan opuścić. Za żadną cenę

nie chcę narażać pańskiej opinii, gdyby pana zo-
baczono pod ręką ze mną.

„Kpinę, czy dwuznaczne wyznanie?“, ostro
zadał sobie pytanie René. „Co to jest?“. Łatwość,
z jaką przysięto jego towarzystwo, swoboda, z ja-
ką mu się powierzyła, oznaczały conajmniej brak
obawy osoby z prowincji, ale z dobrego towarzy-
stwa. Z drugiej znów strony pewną dystynkcją
głosu, łatwość bycia znamiennymi, znajomością
świata. Aby to rozstrzygnąć, dostateczne byłoby
zobaczyć jej twarz. Ale iak nirzeć twarz, zasło-
niona kreną, zwłaszcza, gdy latarnie gazowe rzad-
ko norozstawiane, służyły raczej do wytknięcia
drogi, niż do oświetlenia!

Trzeba było jednak coś odpowiedzieć: w ra-
zie wielkiej pomyłki — przyjmie wyznanie za do-
brą monetę.

— Opuścić mnie na Bourg-Voisin. — zawo-
łał wesoło; — oto iak źle się złożyło, podczas gdy
ja liczyłem przeciwnie, że pani odprowadzi mnie
aż do drzwi mego mieszkania!

— Doprawdy! aż do tego miejsca nie chce
pan zmoknąć?

— Życzę sobie przedewszystkiem korzystać
z miłego pani towarzystwa.

— Och! towarzystwo nieznajomej!...

— To zależy tylko od pani, aby nią nie być.
Komuż mam podziękować za ocalenie mnie przed
deszczem, a jednocześnie obdarzenie mnie uro-
czą chwilą?

Kobieta cicho się zaśmiała:

— Bardzo żałuję: wybawiam panów, których
woda zalewa, ale im nie wyjawiam swego nazwi-
ska.

— Nawet gdyby koniecznie chcieli je po-
znać?

— W takim wypadku przedewszystkiem.

— Ależ, cóż to za nonsens!

— Przeciwnie, bardzo mądrze. Dobro, które
wyświadczamy naszym bliźnim, winno być za-
wsze bezimiennie.

— A jeżeli pragnę zachować wdzięczność dla
pani?

— Nie uznaję tego rodzaju uczucia.

— A więc pozostają inne?

— Jakie inne?

— Wszystkie, i ma się rozumieć miłość...

— Zechce pan zwrócić mi mój parasol.

— Koniecznie pani chce skazać mnie na ulewę?

— Wolę to, niż słuchać głupstw, nie waham się.

— Milczę więc.

Wyobraźcie sobie to wszystko wśród burz, zawieruch, odpowiedzi, rzucane na wiatr, podrzucane, jak rakiety, pewna swawolność, igrająca ze słowami, nieprzewyciężona młodość dwóch głosów, które nie były swej zabawy, a zrozumiecie, że René, zasugerowany tą grą, dał się porwać. Czy ktokolwiek inny na jego miejscu inaczejby się zachował?

Po pewnej chwili milczenia, odezwał się, strapiony:

— Czy nie wolno mi również wogóle mówić o mieście?

— Tyle samo nas to zajmie, co zeszłoroczny śnieg.

— Skoro pani mieszka w tym cichym ustroju, jakże się mogło zdarzyć, że pan dotychczas nie spotkał?

— To prawdopodobnie dlatego, że pan źle widzi.

— Bardzo panią przepraszam: nigdy nie przeoczę żadnej kobiety.

— Zda się, że nie.

— ...Chyba, że jest już bardzo brzydka, oczywiście!

— To właśnie wypadek ze mną.

— Pani rzuca na siebie potwarz.

— Skąd pan może wiedzieć?

— Wystarczy pani postawa: załóżmy się, że pani jest zachwycająca.

— Przegra pan.

— W każdym razie, załóżmy się... i proszę podnieść swój woal.

— Niech mnie niebo chroni! Jedyń raz, kiedy sprawiam złudzenie. Nie chcę rozproszyc cesarza.

W zapale rozmowy, zwolnili kroku i zapomnieli nawet, że z nieba spływają prawdziwe upusty. W tym momencie wiatr morski owiał ich lodową wilgocią. Instynktownie kobieta przytuliła się do Renégo.

— Czy pani bardzo zimno? — zapytał niespokojnie.

— Nie.

— Parasol na dwoje, to taka przegródka, która według przepisu nie zabezpiecza nikogo.

— Oto spóźnione wyrzuty sumienia.

— Tem bardziej dokuczliwe. Doprawdy jestem zawstydzony, że tak źle panią osłaniałem, i muszę się panią zaopiekować całkowicie.

— Jak pan to rozumie?

— Za pani zgodą.

— Ach! ale co z tego wyniknie w mieście, a pańska reputacja?

Nowa fala zimnego wiatru od morza, gorsza jeszcze od poprzedniej, znów ich owionęła. Zanim to minęło wreszcie, ulewa jeszcze się wzmożła, usiłując zmieść wszystko, co tylko stawiało jej opór. Musieli się zatrzymać, przeczekać chwilę, nie rozmawiając. Schronieni pod parasolem, drżący od gwałtownych wstrząsów, stali tak blisko

siebie, że ich oddechy niemal się mieszały. Kochankowie nie mogliby być ściślej przytuleni.

Nagle wiatr ustał, tak, jakby zwierzę wydało ostatnie tchnienie. Cisza śmierci stłumiła wszystko dookoła. Nawałnica się oddalała, pozostawiając po sobie tylko drobny deszczyk, który padał po przez mgłę; stawało się ciepło.

Zdumieni tak nagłą odmianą, pozostali w tej samej pozycji, dostatecznej, aby odczuć bicie serca własnych. Kobieta usiłowała uwolnić swe ramię.

— Przypuszczam — wyszeptala, — że na tem będzie koniec.

— Gdzie pani mieszka? — zapytał ostro René.

— Co to pana obchodzi?

— Ponieważ mam czas, czy nie byłoby właściwe, abym panią odprowadził do domu?

— Zwalniam pana z tego obowiązku.

— A jeśli pójdę za panią?...

— Niech się pan nie waży!

— A zatem proszę o adres!

— Nie.

— Oszaleję, nie wiedząc, komu mam dziękować!

— Już panu mówiłam, że moje dobre uczynki spełniam bezimiennie: ale już przestało padać: proszę zwrócić mi wolność, jak ja ją panu zwracam.

Jednocześnie ramię nieznałomej usiłowało się wysunąć, ale René nie chciał być posłusznym. W dalszym ciągu szli obok siebie, ale już oddzielnie, niewiadomo z jakiej przyczyny wśliznął się pomiędzy nich nienokół.

— To jest ulica Św. Jana, dokąd pan idzie? — zapytała, zrozumiałysz, że René postanowił wytrwać w uporze odprowadzenia jej.

Nie mógł zaplanować nad odruchem gniewu.

— A więc pani wie, kto ja jestem, a chce pani utrzymać w ściślej tajemnicy wszystko, co się tyczy pani osoby, nawet swoje imię? Jakież ono: Marcelina... Iwona?...

Nowy wybuch drwiącego śmiechu przerwał to wyliczanie.

— ...czy Koleta, czy Teresa... proszę wybrać!

— A więc Teresa...

— Dlaczego nie Koleta?

— Ponieważ taką, jak pani jest, nie potrafi pani mówić wesoło o rzeczach poważnych...

— Chciałby pan mówić poważnie o rzeczach wesołych?

— Niech będzie: zgadzam się. Zadowolnię się jedną odpowiedzią... ogólną.

— Proszę ją zachować dla siebie: musi być niedyskretna.

— Czy pani kocha?

— To już w istocie przechodzi wszelkie granice.

— Kimkolwiek jest pani, musi pani umieć odmieniać to słowo, tak jak wszyscy. Zmienia się tylko czas: kocha się, kochało się, lub będzie się kochać?

Teraz ona zamilkła. René coraz bardziej się ośmielał.

(d. c. n.)

(Przekł. autoryz. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej)